



Anna Łacina, „Czynnik miłości”
Fragment

Rozdział I
Wtorek, 23 września 2008

1.

- Szybciej! Szybciej! – poganiała samą siebie Patrycja, wyciągając długie nogi.
- Żeby tym razem autobus się spóźnił, żeby stanął w korku!

Gdy wybiegła zza rogu ulicy, jej oczom ukazał się tył odjeżdżającej jedenastki. Zakląła szpetnie i już powoli doczłapała do przystanku. Następny dopiero za trzynaście minut. Spóźni się jak nic i Celerowa znowu będzie się czepiać: „Jak można nie zdążyć na dziewiątą pięćdziesiąt?”. A co, jak się zaczyna później niż o ósmej, to już zaspać nie można? Ech! Co za idiota wymyślił szkołę!

Gdyby chociaż Patrycja miała inne nazwisko! Ci na „zet” nieraz wbiegali do klasy parę minut po niej bez żadnych przykrych konsekwencji, podczas gdy nieszczęśnicy znajdujący się na początku listy obecności dostawali „eskę”, zjawiwszy się choćby chwilę po dzwonku. A ojciec nie tolerował niepunktualności...

Autobus przyjechał po siedemnastu minutach.

Jak nie trzeba, to są na czas, a jak się człowiekowi śpieszy, wloką się jak stonogi w gipsie! „Szybciej, szybciej!” – poganiała w myślach kierowcę. Co za dzień! Nie dość, że nie mogła znaleźć drugiej tenisówki i wiozła w plecaczku stare korkery brata (w czymś przecież musi ćwiczyć na wuefie, może Neuman nie zauważy, że nieprzepisowe i trochę za duże), to jeszcze pierwsza lekcja z tą głupią Celerową. Na domiar złego Rejewski zapowiedział kartkówkę z matmy. Oj, żeby tak zachorował albo coś... Dlaczego matematyka musi być obowiązkowa we wszystkich profilach? Niech enteri sobie liczą do woli! Ona jest ogólna z angielskim!!! Dodawać i odejmować umie. Wystarczy! Co za idiota wymyślił szkołę?!

2.

W tym samym czasie Grażyna Adler, mama Patrycji, skończyła właśnie sprzątanie kuchni i zabrała się do składania uprasowanych rano mężowskich koszul. Co chwila zerkała na świeże oparzenie na przedramieniu. Miało kształt czubka żelazka. Skóra na środku była biała, z bąblem, na brzegach ciemnoróżowa. Jeszcze piekło. Mniej jednak niż wspomnienie porannej kłótni.

Ciągle na nowo wracała do niej myślami. Nie mogła się powstrzymać. Tak się starała! Ale cokolwiek zrobi, nigdy nie będzie dość dobra.

To była szósta czy siódma rano. Specjalnie wstała wcześniej, by uprasować rzeczy wyprane poprzedniego dnia. Już prawie kończyła, gdy wszedł Waldek.

Był w samych slipkach, z mokrym ręcznikiem przewieszonym przez ramię.

– Daj niebieską – powiedział. – Śpieszę się. O ósmej mam posiedzenie rady.

W popłochu zerknęła na drążek, gdzie wisiały świeżo uprasowane koszule: kilka białych, kremowa, dwie szare. Niebieskiej nie było.

– Chwileczkę. – Uśmiechnęła się. – Zaraz wyprasuję. Jak on na nią spojrział!

– Czy ja kiedyś dostanę coś na czas? – wycedził.

Zerwał z wieszaka jedną z szarych koszul. Tak gwałtownie, że pozostałe pospadały na podłogę.

Cisnął w jej stronę ręcznik z krótkim: „Powiesz!” i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Grażyna drgnęła, odganiając wspomnienia, bo z głębi domu dobiegł dzwonek telefonu. Rzuciła koszule i pognała do aparatu.

– Halo?

– Co tak długo?

– Byłam w garderobie, składałam pranie.– Od rana?

– Nie, ja tylko...

– Słuchaj teraz uważnie, bo nie mam czasu – w głosie Waldka usłyszała zniecierpliwienie. – Jedzie do ciebie Kowalczyk z zakupami. Jakby czegoś brakowało, to mu od razu powiedz, bo dwa razy jeździć nie będzie. Zrób porządną diner. Z przystawkami. O osiemnastej wszystko ma być gotowe na tip-top. Zrozumiałaś?

– Tak. Usłyszała trzask odkładanej słuchawki. „Och! – przypomniała sobie.

– Patrycja zostawiła porzucane buty. Jak Kowalczyk zobaczy, zaraz doniesie Waldkowi”. Pobiegła do przedpokoju i zaczęła sprzątać, modląc się, by ochroniarz męża nie nadjechał za szybko.

3.

Magda Dzik, zwana Magdzikiem, najlepsza przyjaciółka Patrycji, uczennica klasy drugiej d, zajęła już swoje miejsce w czwartej ławce pod ścianą. Skupiła uwagę tylko na tyle, by odezwać się w czasie sprawdzania obecności, po czym błyskawicznie powróciła do ulubionego zajęcia, które praktykowała mniej więcej od tygodnia. Ktoś obserwujący ją z boku mógłby pomyśleć, że wsłuchuje się w słowa nauczycielki, pani Celer, jakby pragnęła odgadnąć różnicę między wyczytanym przed chwilą nazwiskiem „Jęczmyk” a następującym po nim „Kiełpińska”. Gdyby jednak uważniej się przyjrzał, dostrzegłby na twarzy Magdzika cień, a w oczach rozpacz. Pomyślałby może, że to z powodu żałoby, ponieważ dziewczyna ubrana była na czarno. Ale choć nikt bliski ani nawet daleki Magdzikowi nie umarł, to przecież cierpiała. I to jak! Takiego cierpienia mógłby pozazdrościć sam Werter.

Magda miała bowiem w duszy głęboką ranę. Głęboką jak Morze Czarne. Napisała o tym wiersz, którego nie pokazała nawet Patrycji, wkleiła natomiast na jednym ze swoich blogów. Blog nazywał się *Spis nikomu niepotrzebnych myśli moich*, a wiersz brzmiał tak:

Zraniłeś moje serce czarnym atramentem
Choć nie
Chciałeś
I w pustkę rzucona
W czarną
Czarną dziurę
Bezkresu kosmosu
Kosmosnego bezkresu

Za czarnym morzem łez
Cierpię
Trwam

Otrzymała aż dwadzieścia komentarzy, ale to nie ukoilo jej bólu. Magdzik bowiem cierpiała z miłości. Jedynej, beznadziejnej i niemożliwej. Zakochała się w Poecie. Do tego Poeta był od niej starszy o całe osiem lat. A przecież nie potrafiła się go wyrzec. Chociaż on... on kochał nie ją.

Rozdarte siedemnastoletnie serce zatrzepotało gwałtownie i Magda poczuła nieprzepartą chęć, by opowiedzieć Patrycji o wczorajszym wieczorze spędzonym z ukochanym. Jak najszybciej! Zaraz! Natychmiast! W przeciwnym razie ta rozkoszna udręka, która stała się jej udziałem, zabije ją na miejscu, ku uciesze całej klasy i dezaprobatie Celerowej. Ale krzesło przyjaciółki było puste. Zdesperowana otworzyła piórnik i wyjęła pogniecioną kartkę z wierszem, który on napisał wczoraj specjalnie dla niej.

Ostatkiem sił powstrzymała się od westchnienia. Komu ma się zwierzyć?

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i wpadła Patrycja. Magdzik była ocalona. No, prawie.

4.

– O! Panna Adler, witamy, witamy! – mruknęła Celerowa.

– Jeśli myślisz, że w ten sposób unikniesz odpowiedzi, to się mylisz. Odłóż torbę i przyjdź tu z zeszytem.

– Wcale tak nie myślałam, po prostu autobus mi uciekł – broniła się Patrycja, ale nauczycielka nie słuchała.

– A więc powiadasz, że elementem budowy nefronu jest kłębuszek nerwowy? – zwróciła się ponownie do Kuby, który ze zboląłą miną wił się przy tablicy, strzelając oczami na boki w oczekiwaniu odsieczy. – I zadania domowego też nie zrobiłeś... Nieładnie – westchnęła.

Wpisała coś do dziennika i odesłała chłopaka na miejsce.

– Co dostałeś? Co dostałeś? – dopytywał się szeptem Marek.

Kuba wzruszył ramionami.

– Buta! Widziałem – doleciał z przodu szept Bartka. – Oj, przecież wiem – odburknął.

– No to chodź, Patrycja – biologica rzuciła polecenie, nie podnosząc wzroku znad dziennika. – Zadanie domowe masz?

Zadanie domowe na szczęście miała i chyba tylko to ją uratowało. A przecież mogła się spodziewać, że będzie pytana. Na poprzedniej lekcji zagadała się z Magdą i Celerowa to zauważyła. Magdę spytała od razu i odesłała na miejsce z jedyneką za aktywność. Patrycję ocalił dzwonek. Od tamtej biologii minęło wprawdzie sześć dni, ale ta kobieta nigdy niczego nie zapomina. W przeciwieństwie do Patrycji, której wpadka wyleciała z głowy. W domu ledwo zajrzała do zeszytu, podręcznik w ogóle ignorując. Sama nie wiedziała, na kogo bardziej się złościć: na nauczycielkę czy na siebie. Jak mogła być tak bezmyślna?! Nie lubiła biologii, ale wiedziała, że jeśli nie poprawi dopa do wywiadówki, to ojciec jej żyć nie da, a poprawić nie było łatwo. Celerowa niechętnie pytała poza kolejnością.

– Dlaczego ten babsztyl nie zostawi nas w spokoju? – burzyła się głośno na przerwie. – Niech dusi tych z biol-chemu! Wybrali, to mają! Ja się o biologię nie prosiłam!

Magda przykucnęła w kącie z pogniecionym wierszem w dłoni. Podczas lekcji zdołała go Patrycji pokazać, ale nie udało się im spokojnie porozmawiać. Rozmowa na przerwie też nie wchodziła w grę, bo zaraz mieli matematykę, więc wszyscy zabrali się do powtarzania przed kartkówką.

– Albo Rejewski! – Magdzik zawtórowała Patrycji. – To już trzecia kartkówka z matmy od początku roku! Co on, Einsteinów chce z nas zrobić?

– A może go nie ma? – spytała z nadzieją Ola. – Widział go ktoś? Może chory?

– Taa, jasne – rzucił ponuro Kuba. – Luki z Bartkiem spotkali go w ksero. Dobrze, że wbił, jak już se zmniejszyli ściagi, boby musieli ściemniać. Na sprawdzian Reju nawet w trumnie by przylazł.

– Dlatego ja bym na ich miejscu za bardzo na tę ściagę nie liczyła – parsknęła Patrycja, kontemplując obraz Rejewskiego wychylającego się z trumny, by dyktować zadania matematyczne. – Nie pamiętasz, co zrobił Adrianowi?

– Wstawił mu lacza z wykrzyknikiem – mruknęła Magdzik.

– Ma chłopak przechlapane.

Wszyscy wiedzieli, że u Rejewskiego jedynka z wykrzyknikiem jest nie do poprawienia, a że pod koniec semestru wyliczał średnią ważoną, więc sytuacja Adriana nie zapowiadała się najlepiej.

– No to teraz chyba będzie musiał się przyłożyć? – wtrąciła nieśmiało Zosia. Jako jedna z niewielu nie bała się kartkówki, z matematyki była dobra. – Czy nie trzeba mu pomóc?

– Nic mu to nie da – rzucił Kuba złowieszczo. – „Raz zawiedzione zaufanie trudno przywrócić” – przedrzeźniał nauczyciela. – Reju jest teraz na niego cięty, jak nie wiem co. Już mu nie odpuści.

– Szkoda gościa – podsumował Przemek. – Ale może jeszcze znajdzie jakiś sposób?

– Sposoby – prychnęła Patrycja – są tylko w książkach. I to starych. Taki *Sposób na Alcybiadesa*. Kto to dzisiaj czyta?! zresztą, nie wiem, może dawno temu były inne szkoły? A teraz co? Nauczyciele nawet porządnych przezwisk nie mają! Tylko Fizia, ale to się nie liczy.

– A zauważyliście, że Celerowa w tym roku jakoś mizernie wygląda? – wtrąciła się znowu Zosia. – O! Może chora? – wykrzyknęła z nadzieją Patrycja.

– Jakby była chora, toby poszła na zwolnienie albo na urlop zdrowotny – sprowadziła ją na ziemię Magdzik, kartkując zeszyt do matematyki. – Z czego to będzie? Daj mi podręk, bo chyba nie mam tych zadań. Życie jest niesprawiedliwe! Dzisiaj matka zabiera mnie z dwóch ostatnich lekcji. No i, oczywiście, co mi przepada? Wuefy. A gdyby zapisała mnie do ortodonty na rano, jak chciałam, to przyszedłbym do budy po biolę i majmie. Wyobraźcie sobie, matka cieszyła się jak nie wiem co, bo się jej udało mnie wcisnąć na drugą, to był ostatni numerek. Wszyscy się uwzięli!

– Ja tam bym wołała, żeby mi przepadły wuefy. – Zosia westchnęła.

– Ale gdybyś ty się wybierała do ortodonty, to matka zapisałaby cię na rano i straciłabyś biolę z twoją ukochaną Celerową.

– Ona wcale nie jest moja ukochana! – oburzyła się Zosia.

– A biologia jest fajna. Będę ją zdawać na maturze. Dlatego wołałabym, żeby mi nie przepadała. No i gdyby zmienili nam nauczyciela, też bym się nie ucieszyła...

– Mnie tam wszystko jedno – mruknęła Magdzik. – Chociaż Woźniak chyba nie jest taki ostry. Druga F ma bio z Woźniakiem i podobno wystarczy dwa razy zgłosić się do odpowiedzi i oddać jeden referat w semestrze i spokój. Gośka Kosek mówiła. znacie ją? Z drugiej F. Ale Celerowa nie pójdzie na zwolnienie, choćby po to, żeby nam zrobić na złość. Życie jest niesprawiedliwe.

– Ma coś z oczami. – Kuba podniósł plecak z podłogi, bo dzwonek oznajmił koniec przerwy. – Widziałaś, Pat? Czerwone.

– Nie zwróciłam uwagi – odparła Patrycja z żalem. – Myślisz, że to coś poważnego? Od dawna to ma? Zocha, przyglądałaś się? Będzie z tego zwolnienie?

– *She sees red!* * – zaśmiała się Magda, ale nikt jej nie zawtórował.

* To see red (ang.) – wpaść we wściekłość.

– Ja myślę – powiedziała powoli Zosia – że ona ostatnio dużo płacze. Że to nie choroba, tylko jakieś nieszczęście.

– I dobrze jej tak! – podsumowała mściwie Magdzik, wchodząc do klasy. – Widać ona też ma kogoś, kto ją gnębi! Jest jakaś sprawiedliwość na tym świecie! Jeszcze na Reja by się coś przydało.

5.

Kiedy Patrycja wróciła do domu, przywitały ją smakowite zapachy napływające z kuchni. Mama miotała się między stołem a kuchenką z obłędem w oczach, zarumieniona, z włosami w nieładzie. Chyba znowu nie uważała, podnosząc pokrywki, bo na jej przedramieniu Patrycja dostrzegła świeże oparzenie.

– Kolejna impreza? – Nachmurzyła się. – Głodna jestem.

– Jest jeszcze trochę zupy z wczoraj, odgrzej sobie, a potem pokroisz mi jarzyny do sałatki, dobrze?

– Zupa? – skrzywiła się Patrycja. – Mogę trochę tego? – wskazała różnokolorowe tartinki ułożone w zgrabną piramidkę.

– Ani mi się waż! Zostaw! – Matka trzepnęła ją po ręce. – Jak sobie pójdą, to zjesz – dodała łagodniej. – Przecież wszystkiego nie pożrą, a to musi jakoś wyglądać... Ojej! Moje zraziki! Nie rozpraszaż mnie! – Rzuciła się w stronę bulgocących garnków.

– Nie znajdzie się jakiś nadprogramowy? – spytała Patrycja, wciągając łąkowie powietrze. – Aż mnie skręca.

– Oj, córuniu... – Mama westchnęła. – Nawet nie wiem, ilu ich dzisiaj ojciec przyprowadzi. A jak zabraknie? Potem sobie zjemy. Weź teraz coś szybciutko, mówiłam, skończ wczorajszą pomidorówkę albo zrób sobie „gorący kubek”. I przebierz się. Jesteś mi potrzebna.

– Mam dużo lekcji – odburknęła, myszkuje w lodówce. Znalazła resztki sałatki sprzed trzech dni i galaretkę z kurczaka. A tak by sobie zjadła zrazika! Mama na pewno zrobiła z pieczarkami, pycha! I znowu wszystko zeżrą te grube typy. Dobrze jeśli tylko zeżrą. W zeszłym tygodniu... Poczula, jak żołądek podchodzi jej do gardła, i czym prędzej nakazała sobie myślenie o czymś innym. – Żeby ojciec nie zobaczył, że masz w kuchni rozpuszczone włosy – rzuciła szorstko i wyszła, zamykając drzwi nieco głośniejsze, niż chciała.

Siadła do komputera, pochłaniając łapczywie namiastkę obiadu. Na naszej-klasie nie było nic ciekawego, wirtualne smoki potrzebowały do wyklucia się jeszcze kilku dni, nawet na ulubionych forach nie pojawiły się żadne nowe posty. Tylko piorun_kaczora jak zwykle trollował po wątkach, mimo że od dawna nikt ze stałych bywalców nie zwracał na niego uwagi.

Sięgnęła po ulubioną powieść, ale i ona nie wciągnęła jej tak jak zwykle. Zamiast subtelnych rysów Edwarda Cullena wciąż miała przed oczami spoconą twarz matki, jej pochylone ramiona, oparzenie na ręce...

Z trzaskiem zamknęła książkę i ruszyła do kuchni. Pachniało w niej tak, że znowu poczuła skurcz żołądka, chociaż przed chwilą jadła.

– Gdzie te jarzyny? – burknęła. – Pokroję, bo przecież nie zdążysz...

6.

Ojciec zjawił się po siedemnastej w towarzystwie dwóch obcych dziewczyn.

– Cześć, kochanie! – zawołał z szerokim uśmiechem, całując żonę w policzek.

– Wszystko gotowe?

Mama nie odpowiedziała, wpatrując się w przybyłe niechętnym wzrokiem. Roześmiał się.

– To jest Wiola. – objął w talii biuściastą tlenioną blondynę.

– A to – klepnął po tyłku drugą z dziewczyn – Pamela.

– Paula – poprawiła kobieta schrypniętym głosem.

– Nieważne! – zachichotał, przyciągając ją do siebie. – Będą podawać do stołu.

Patrycja zastanawiała się, czy mówiąc ostatnie słowa, mrugnął, czy tylko tak jej się zdawało.

Puścił dziewczyny i podszedł do mamy. Ujął w obie dłonie jej rękę i ostrożnie podmuchał na oparzelinę.

– Ech, ty niezdarco kochana, zginiesz beze mnie – mruknął. – Patrycja, podaj z apteczki to cudo do psikania i plaster z opatrunkiem. Trzeba się zająć ranną na placu boju. – Kiedy córka wyszła po medykamenty, dodał półgłosem z ustami przy uchu żony: – No, czego się boczysz? Oni lubią takie... – Zerknął w kierunku dziewczyn. – Przecież moja kochana niezdarca nie będzie kelnerką w moim domu. Jeszcze by wylała komuś gorącą zupę na... – Wybuchnął rubasznym śmiechem.

Puścił żonę i podszedł do największego garnka. Ostrożnie podniósł pokrywkę, zamieszał i spróbował.

– Nie jest to wprawdzie Sheraton... – ocenił, mlaskając. Nabrał jeszcze jedną łyżkę potrawy, powąchał. – Ale Pulardzie i tak wszystko jedno, byle dużo. Taak, całkiem niezłe. Jak na ciebie, to nawet bardzo dobre. Ale pewne rzeczy... – wziął tartinkę i pożarł w dwóch kęsach – ...pewne rzeczy – wymamrotał – lepiej zostawić profesjonalistkom. No co tak patrzysz? O podawaniu do stołu mówię! O! Jesteś, Patrycja! Po śmierć ciebie posyłać! Chodź tu, matka, opatrzymy.

Chwycił żonę i przyciągnął do siebie, ale wyrwała się z jego objęć.

– Nie trzeba, już nie boli – powiedziała drżącym głosem.

– Pójdę zobaczyć, czy niczego nie brakuje na stole, czy dobrze nakryte. Dziękuję, Patuniu. – Wzięła z rąk córki opatrunki i wyszła z kuchni.

7.

Po osiemnastej zaczęli złazić się goście. Ojciec kazał Patrycji nie wychodzić z pokoju, ale przez okno widziała podjeżdżające samochody. Pierwszy przyjechał dyrektor Pularda. Kiedyś nazwała go „durektorem”, co ojca ogromnie rozbawiło. „Świetne! – wołał, klepiąc się z uciechy po udach. – Rzeczywiście durektor z niego, bo durny jest jak but z lewej nogi! Bystra dziewczynka!”

Dyrektor Pularda bywał na wszystkich przyjęciach w ich domu. „Pewnie dlatego taki gruby” – pomyślała mściwie Patrycja.

Zaraz za nim przyjechał poseł Wyrodek i jeszcze kilku najwyraźniej bardzo z nim zaprzyjaźnionych mężczyzn, których nie знаła. Na jej piętorko docierało głośne: „panie

marszałku”, „panie prezesie”, „panie pośle”, „panie senatorze”. Do ojca też nie mówili inaczej jak „panie przewodniczący”, choć przecież nie im przewodniczył. Ostatni zjawiał się pan Witaszek. Ojciec od pewnego czasu nadszkakiwał mu nawet bardziej niż dyrektorowi Pulardzie. Ciekawe, co tym razem chce sobie załatwić. Nowy kontrakt? A może już myśli o wyborach?

Skrzypnęły drzwi i do pokoju wsunęła się mama. Zapachniało bazylią, oregano i rozmarynem.

– Przyniosłam to, co się nie zmieściło na półmiskach. Spróbuj.

– Łał! Co to takiego?

– *Filetto di manzo*, czyli po naszymu polędwica. A to coś w rodzaju *focacci*, tylko pokroiłam na małe kawałeczki, żeby wydawało się, że jest tego więcej. Na przystawkę. Poza tym dzięki temu okrawki są dla nas. A to *chicken & mushroom puff pie*. Te trzy mi trochę nie wyszły. Jedz, póki ciepłe.

– Pycha! A zraziki?

– Zraziki podałam na tamtym dużym półmisku z zielonym wzorkiem, więc nie dało się nic uszczknąć. Ale na pewno wszystkiego nie zjedzą.

– Niebo w gębie! Ale byłam głodna! – wymamrotała Patrycja z pełnymi ustami.

– Strasznie cię przepraszam, córeńko, że dopiero o tej porze jesz obiad. Może jednak powinniśmy ci wykupić abonament w stołówce? Zjadłabyś po drodze do domu, a u nas najwyżej drugi?

– Eee, nie. Wolę, jak ty ugotujesz.

– Ale w takie dni jak dzisiaj... Sama widziałaś, nie miałam nawet czasu odgrzać ci zupy. A tak w ogóle to nie zdążyłam podziękować. Nie wiem, jak poradziłabym sobie bez twojej pomocy.

– Poradziłabyś, nie gadaj!

– No! – Mama zerknęła na zegar. – Robi się późno. Na którą masz jutro do szkoły?

– Na ósmą.

– Spakowana jesteś? Lekcje odrobione? Nie siedź dzisiaj za długo, dobrze?

– A ty?

– Ja też pójdę wcześniej spać. Przygotuję się tylko trochę do zajęć, bo już niewiele czasu mi zostało, a w ciągu roku... Sama wiesz, jak bywa. zmywanie chyba odłożę do jutra.

Mama wyszła, jak zwykle bezszelestnie. Patrycja odrobiła najpilniejsze lekcje, resztę wieczoru zamierzając spędzić z ulubioną książką. Czytała ją już drugi raz, zatrzymując się przy opisach Edwarda. Jakże zazdrościła Belli! Gdyby rodzina Cullenów chodziła do liceum Patrycji, wszystko wyglądałoby inaczej. I lekcje, i przerwy. Ale takie rzeczy dzieją się tylko w książkach. Poza nimi czeka codzienność. Nudny dom, przewidywalna szkoła. A już chłopcy zwyczajni aż do bólu. I do tego mają przyszcze.

Gwar rozmów dobiegający z dołu początkowo jej nie przeszkadzał. Jednak z każdą godziną hałas stawał się coraz głośniejszy. Okrzyki, sprośne przyśpiewki, piski kobiet nie pozwalały się skupić. Gdy po raz kolejny zgubiła wątek, wściekła odłożyła powieść.

Miała ochotę wrzeszczeć, rzucić na podłogę klawiaturę i skakać po niej, zrywać plakaty, walnąć komórką o ścianę, tak żeby się rozleciała na małe kawałeczki, jak w jednym teledysku, albo pozzrzucać wszystko z półek, połamać płyty, porozrywać książki, byle tylko tamci się zamknęli. znowu będzie musiała spać ze słuchawkami w uszach. A bo to pierwszy raz? Czy kogoś obchodzi, że jutro wstaje do szkoły na ósmą?

Nie wiedziała, co ją obudziło. Może ból ucha? Jedna słuchawka wypadła podczas snu, ale druga tkwiła na swoim miejscu, boleśnie twarda i pulsująca jednostajnym

rytmem muzyki. Wyjęła ją czym prędzej. Jaka ulga!

Przyjęcie musiało się już skończyć, bo w domu panowała cisza. Ledwo to sobie uświadomiła, za oknem rozległ się ryk durektora:

– Prześliczna Wio...Wiolo...! Chodź tu zaraz, la, la, laaa!

Wyjrzała. Inne samochody już znikły z podjazdu, tylko bmw Pulardy stało jeszcze z otwartymi drzwiami. Ojciec i biuściasta blondyna, którą przyprowadził wieczorem, usiłowali umieścić durektora na tylnym siedzeniu. W końcu im się udało.

Ojciec wręczył blondynie kluczyki i coś powiedział. Ta roześmiała się, wsiadła do samochodu i odjechała. Patrycja zerknęła na zegar. Druga trzydzieści. Ci to mają zdrowie!

Z powrotem zakopała się w pościeli. Słyszała ciężkie kroki ojca wchodzącego po schodach. Skrzypnęły drzwi do pokoju rodziców i zaraz dobiegł stamtąd głos mamy. Wcale nie rozespany. Patrycja nie mogła rozróżnić słów, ale piskliwe, łamiące się tony sugerowały, że mama mówi przez łyż. Ojciec odpowiedział spokojnie, kojąco. I ponownie głos mamy. Krótkie, rwane zdania na wysokich tonach. I jego głos. Niski, wibrujący, stopniowo przechodzący w szept. I cisza.

Patrycja zasnęła.

Więcej www.nk.com.pl